

Tomasz Merta: Nieodzowność konserwatyzmu

Polski konserwatysta ma przed sobą wielką pracę krytyczną – musi wnikliwie przeanalizować dostępne mu tradycje, decydując, które z nich zasługują na jego poparcie. Krytyka musi dotyczyć także obozu naturalnych sojuszników – pisał Tomasz Merta.

„Mówicie, że krasnoludki nie istnieją. No dobrze, ale jak w takim razie nazywacie te małe ludziki w czerwonych czapeczkach?”. Nie pamiętam autora tej znakomitej repliki wymierzonej we wszystkich krasnoludkowych niedowiarków, a szkoda, bo przychodzi mi ona na myśl zawsze, gdy ktoś neguje sensowność używania słowa „konserwatyzm” we współczesnej Polsce. Nie będę rzecz jasna zaprzeczał oczywistemu przecież faktowi, że konserwatyzm w III Rzeczypospolitej ma spore kłopoty ze swoją tożsamością, trudno mi jednak zgodzić się z tym, iżby należało z tego wyciągać radykalny wniosek na temat jego nieistnienia. Tymczasem tak właśnie postąpił Tim Snyder, który demaskuje młodych polskich konserwatystów jako liberałów w przebraniu. (Właściwie nie tyle demaskuje, ile ułaskawia, bo słówko liberał to z jego punktu widzenia z pewnością bardziej pozytywna konotacja niż konserwatysta).

Burke wstępuje do SLD

Na poparcie swojej tezy zgromadził Snyder, wnikliwy obserwator polskiego życia politycznego, szereg mocnych argumentów, których fałszywości nie jest łatwo dowieść. Tym bardziej że większość z nich jest całkowicie prawdziwa. Istotnie, podstawowym problemem polskiego konserwatyizmu jest trudność w zbudowaniu wiarygodnej odpowiedzi na pytanie „co konserwować?”. Konserwatysta winien przecież konserwować to, co jest, a to, co jest, okazuje się niewątpliwie mało zachęcające. Polski konserwatysta nie może więc afirmować zastanej rzeczywistości, lecz od samego początku się jej sprzeciwia. Jego odruchy nie są zachowawcze, lecz burzycielskie. To, co dane i konkretne – choćby opisywana przez Snydera postpeerelowska mentalność – staje się głównym wrogiem konserwatysty. W tej sytuacji upodabnia się on do swego odwiecznego wroga, rewolucjonisty, który swój cel wyznacza nie w odniesieniu do tego, co jest, ale do tego, co powinno być. Odwraca się tyłem do nieprzyjemnej rzeczywistości, próbuje ją zignorować, swe działania podporządkowując wyrozumowanemu i w istocie rzeczy zupełnie abstrakcyjnemu projektowi. Nie chce rzeczywistości konserwować, ale wręcz przeciwnie – doprowadzić do gwałtownej zmiany, która umożliwi zrealizowanie jego abstrakcyjnego, ogólnego projektu. Konserwatysta, czując się nieswojo w roli rewolucjonisty, próbuje się usprawiedliwiać, wskazując jakieś wzorce z przeszłości, wskrzeszając dawne, historyczne tradycje. Skoro jednak nic tradycji została zerwana, odwołania do historii nie mogą mieć żadnego znaczenia – w końcu każdy może zawitać do muzeum. Podobnie nikłą tylko moc usprawiedliwiająca mają próby włączenia się polskich konserwatystów w spory prowadzone przez ich zachodnich, przede wszystkim amerykańskich, kolegów – najłatwiej walczyć im z przeciwnikiem, którego sami wykreowali albo też importowali zza oceanu. Konserwatywnej międzynarodówki nie będzie

– dowodzi Snyder – trzeba więc, by polscy konserwatyści zajęli się swoimi problemami, zamiast tracić siły na heroiczną czy raczej heroikomiczną walkę z polityczną poprawnością czy feminizmem.

Wszystko to brzmi bardzo logicznie i przekonująco, na szczęście dla konserwatystów można jednak znaleźć kilka miejsc, w których jest o co się ze Snyderem pospierać. Przede wszystkim o efektowną, ale nie do końca uzasadnioną wizję postkomunistów i ludowców jako jedynych prawdziwych polskich konserwatystów. Zdaniem Snydera Kwaśniewski i Pawlak, choć sami nigdy by się tak nie określili, są konserwatystami, konserwują bowiem realnie istniejące tradycje – postkomunistycznej mentalności i drobnych chłopskich gospodarstw. Kwaśniewski i Pawlak istotnie wypełniają wszystkie elementy zaproponowanej przez Snydera definicji konserwatysty: przedkładają to, co konkretne, nad to, co abstrakcyjne, tradycję nad ideę postępu, wartościują pozytywnie zastaną rzeczywistość i niechętnie odnoszą się do jakichkolwiek gwałtownych zmian. Wszystko to prawda, wydaje się jednak, że dowodzi to nie tyle konserwatyzmu Kwaśniewskiego i Pawlaka, ile ułomności przedstawionej tu definicji. Po pierwsze dlatego, że poznawczo bezwartościowe jest sprowadzanie konserwatyzmu jedynie do prostego odruchu zachowawczego – można oczywiście mówić, jak to czyniły niezliczone rzesze sowietologów, o konserwatystach w Biurze Politycznym KPZR, ale pojęcie to traci wtedy swój sens jako określenie stylu politycznego myślenia, stając się praktycznie rzecz biorąc bezużyteczne.

Po drugie, dlatego że definicja Snydera nie umożliwia nam odróżnienia konserwatysty od pragmatycznego utylitarysty, który kierując się roztropnością (skądinąd przecież bardzo konserwatywną cnotą) także może sceptycznie oceniać szanse realizacji abstrakcyjnych projektów i

Definicja Snydera nie umożliwia nam odróżnienia konserwatysty od pragmatycznego utylitarysty, który kierując się roztropnością może sceptycznie oceniać szanse realizacji abstrakcyjnych projektów i przeciwstawiać się gwałtownym zmianom

przeciwstawiać się gwałtownym zmianom. Jest to, dodajmy, problem wcale nie nowy, jak tego dowodzą choćby przemiany w sposobie interpretowania filozofii Edmunda Burke'a. W pierwszej połowie naszego wieku „ojca konserwatyzmu” uważano za filozofa

pragmatycznego, afirmującego rzeczywistość jako efekt procesu historycznego. Zwolennicy takiej interpretacji zwracali zwykle uwagę na wewnętrzną koherencję poglądów angielskiego myśliciela, która zupełnie dobrze obchodziła się bez jakichkolwiek metafizycznych podpórek. Najważniejszymi kategoriami w myśleniu Burke'a były zadawnienie i stosowność, przy czym stosowność sprowadzała się do postulatu poszukiwania rozwiązania nie najlepszego w ogóle, lecz tylko najlepiej dostosowanego do aktualnego kontekstu politycznego i historycznego. W latach pięćdziesiątych roszczenia do Burke'a zgłosiła szkoła prawa naturalnego, która uważała jego konserwatyzm za ufundowany na pewnej formie sankcji religijnej. Choć próby wykreowania Burke'a na myśliciela religijnego (Russell Kirk) spaliły na panewce, prace Paula J. Stanlisa, Charlesa Parkina i Francisa Canavana dowiodły wątpliwości wąsko-pragmatycznej interpretacji. Na przykład pojęcie stosowności u Burke'a z trudem jedynie daje się zrozumieć, jeśli abstrahować od Burke'owskiej koncepcji sprawiedliwości. Nie wydaje też obecnie możliwe ignorowanie religijnych poglądów filozofa, które

choć nie pozostają w bezpośredniej relacji do jego koncepcji politycznych, to jednak stanowią dla sfery politycznej ostateczny układ odniesienia i potencjalne źródło wartościowania. Taka wizja konserwatyzmu wykracza znacznie poza definicję zaproponowaną przez Snydera, ale tylko dzięki niej Burke zostaje ocalony od konieczności zapisania się do SLD.

Konserwatyzm i konstruktywizm

Centralne miejsce w tekście Snydera zajmuje problem tradycji, wobec której polski konserwatyzm musi się określić. Snyder ma niewątpliwie rację, gdy wskazuje na realne istnienie postpeerelowskiej mentalności i antymodernizacyjnego nastawienia wsi. Czy jednak konserwatyzm jest rzeczywiście skazany na ich obronę? Nie jest przecież tak, by do nich sprowadzała się cała polska tradycja polityczna. Snyder jest tego oczywiście świadom, wspomina przecież o tradycji solidarnościowej, jednak w jego przekonaniu konserwatysta nie może dokonywać wyboru tradycji, musi brać ją taką, jaka jest, jakiegokolwiek konstruktywistyczne poczynania są zaś absolutnie niedopuszczalne. Obawiam się, że przy radykalnym sformułowaniu tej tezy nawet Kwaśniewski i Pawlak nie zasłużyliby na miano konserwatysty, wszak i oni dokonują wyboru swojej tradycji, pewne elementy polskiej rzeczywistości wzmacniając, inne zaś ignorując. Pożyteczne chyba byłoby tutaj wprowadzenie dość popularnego rozróżnienia na dziedzictwo i tradycję – dziedzictwo jest wielką skarbnicą narodową, w której przechowywane jest absolutnie wszystko, co wpływało i wpływa na ukształtowanie się naszego jestestwa, tradycja natomiast jest mniej czy bardziej świadomym wyborem z owego dziedzictwa. Wybór ten rzadko tylko bywa całkowicie arbitralny, niewątpliwie jednak nikt nie może uniknąć konieczności jego dokonania. Nie da się przecież konserwować dziedzictwa jako

takiego, już to z tego powodu, że są tam elementy ze sobą niespójne, a nierzadko i absolutnie sprzeczne, już to dlatego, że dziedzictwo podlega nieustannej zmianie, wraz z ludzkimi działaniami wciąż tworzącymi nowe fakty kulturowe, cywilizacyjne i polityczne. Ktoś, kto chciałby konserwować całe dziedzictwo, siłą rzeczy – musiałby być zwolennikiem absolutnego bezruchu, zwolennikiem zatrzymania świata.

W 1989 roku nie mieliśmy wcale pustych rąk – ocalić udało się zdumiewająco dużo, jeśli idzie zarówno o tradycje polityczne, jak i społeczne. Opozycja rozkwitła także i dlatego, że miała się do czego odwoływać

Sprzeciw polskiego konserwatysty wobec tradycji pe-erełowskiej mentalności nie musi więc czynić jego konserwatyzmu mało wiarygodnym. PRL nie była czarną dziurą ani też okresem, w którym dokonano totalnej

destrukcji tradycyjnych więzi społecznych i instytucji pośredniczących. Owszem, wiele z nich zostało nadwątlonych, osłabionych czy zapomnianych, ale do anomii było doprawdy daleko. W 1989 roku nie mieliśmy wcale pustych rąk – ocalić udało się zdumiewająco dużo, jeśli idzie zarówno o tradycje polityczne, jak i społeczne. Opozycja nie tylko zakiełkowała, ale i rozkwitła, także i dlatego, że miała się do czego odwoływać: do wciąż mocnej rodziny kultywującej nierzadko historyczne i etyczne tradycje, do etosu polskiej inteligencji, do niezwykle silnej i zachowującej nieprzerwaną ciągłość tradycji religijnej. W żadnym razie nie jest więc tak, iżby konserwatysta polski nie miał się do czego odwoływać – nawet jeśli prawdą jest, że łatwiej

znaleźć mu oparcie w aksjologii, etyce i religii niż w polityce. Ośmielam się też stwierdzić, że i z polityką sprawy nie mają się aż tak tragicznie... Zwycięstwo Kwaśniewskiego jest faktem, ale faktem jest także wysoki poziom poparcia dla sił postsolidarnościowych, powszechny konsensus co do sensu istnienia konstytucyjnej demokracji, akcesu do NATO i Wspólnoty Europejskiej. Polski konserwatysta nie musi być nastawiony antymodernizacyjnie (co nie znaczy, że nie będzie spierał się o kształt modernizacji), bo też i społeczeństwo *en masse* wcale takiego nastawienia nie przejawia.

Czy konserwatysta istotnie upodabnia się do postmodernisty, gdy dokonuje wyboru spośród dziedzictwa, dookreślając tradycję, do której zamierza nawiązywać? Czy staje się zarozumiałym konstruktywistą, lekceważącym otaczającą go rzeczywistość? Taki wniosek nie wydaje się uprawniony. Czym innym jest bowiem wprowadzenie pewnej hierarchii w ocenie różnych narodowych tradycji, czym innym zaś negowanie istnienia tradycji, które uznano za złe. W tym sensie zresztą ma Snyder rację – marnym konserwatystą jest ten, kto odwraca się tyłem do polskich problemów, kto opiera swój konserwatyzm na idealizacji rzeczywistości, ignorując zupełnie realia. Istotnie, konserwatysta musi zdawać sobie sprawę z tego, co jest, a więc także z faktu istnienia peerelowskiej i chłopskiej mentalności, ale nie znaczy to, że jest skazany na proste zachowanie zastanego świata. Zmiana nie jest słowem wygnanym z konserwatywnego słownika.

Konserwatysta jako wieczny rewolucjonista

Konserwatysta Snydera jest właściwie bezbronny wobec zastanej rzeczywistości, jeśli bowiem cokolwiek spróbuje w niej zmienić, natychmiast nazwany zostanie liberałem albo i rewolucjonistą. Tymczasem już Burke – konserwatysta paradygmatyczny – uważał zmianę za nieodzowny warunek trwania danego społeczeństwa. Opowiadał się jednak za zmianą cząstkową, ewolucyjną, ostrożną. Takie stanowisko z trudem tylko może zostać zaakceptowane przez dzisiejszego polskiego konserwatystę, który nierzadko domaga się gwałtownych i – o zgrozo – całościowych reform. Koncepcja powolnej zmiany nie jest jednak jedyną, jaką powiązać można z konserwatywnym stanowiskiem. Kto wie, czy w naszej sytuacji bardziej rozsądne nie byłoby odwołanie się do tego, co pisał amerykański politolog Willmoore Kendall, dla którego stanowisko Burke’a było także w amerykańskim kontekście niemożliwe do utrzymania. Kendall proponował, by zmianę oceniać nie wedle jej intensywności i zakresu, ale oceny jej celowości. Twierdził, że w każdym kraju istnieje możliwość zrekonstruowania jądra jego tradycji politycznej. Taka rekonstrukcja zespołu przekonań i wierzeń, na których ufundowana została dana wspólnota polityczna, pozwala na ocenę zmiany jako doskonalącej bądź też osłabiającej istniejący konsensus podstawowy.. Konserwatysta winien oczywiście opowiadać się za zmianami potwierdzającymi i doskonalącymi ową zrekonstruowaną tradycję polityczną, stanowczo sprzeciwiać się natomiast reformom, które mogłyby ją nadważyć. Uprzedzając krytykę, powiem od razu, że doskonale zdaję sobie sprawę z trudności realizacji takiej koncepcji (kto miałby definiować, co wchodzi w skład konsensusu podstawowego i jak wielkie mogą być szanse szerszego porozumienia się w tej sprawie), wydaje mi się jednak, że pozwala ona przemienić dość jałowy przecież spór o możliwość istnienia konserwatyzmu w III

Rzeczypospolitej w interesującą i, jak sądzę, pouczającą debatę nad polskim konsensusem podstawowym, nad tym, co uznajemy za najbardziej istotne elementy naszej tradycji politycznej.

Polski konserwatysta z pewnością nie jest liberałem, kwestia jego rewolucyjności pozostaje jednak otwarta. To, że różnica między konserwatystą a rewolucjonistą jest bardzo często niewielka, wynika z reaktywnego charakteru konserwatywnego myślenia. Konserwatyzm chciałby konserwować dobrą rzeczywistość, to, co jest, lecz samo jego pojawienie się warunkowane jest osłabieniem bądź zanikiem tej właśnie rzeczywistości, która postrzegana jest jako dobra. Świadomość konserwatywna pojawia się wtedy, gdy znika to, co miało być przedmiotem konserwacji. Jerzy Szacki nie bez powodu przecież zatytułował swą książkę poświęconą francuskim tradycjonalistom *Kontrrewolucyjne paradoksy*. Aby więc konserwatysta nie był rewolucjonistą (kontrrewolucjonistą), nie może on domagać się wskrzeszenia tego, czego już nie ma, ani też tworzyć abstrakcyjnych projektów, skoncentrowanych wyłącznie na tym, co być powinno. Konserwatysta nie może obrażać się na otaczający go, ciągle zmieniający się świat i zamiast tego powinien czynić starania, by zmianom tym nadać swój własny sens.

Polski konserwatysta z pewnością nie jest liberałem, kwestia jego rewolucyjności pozostaje jednak otwarta

Tak więc polski konserwatysta ma przed sobą wielką pracę krytyczną – musi wnikliwie przeanalizować dostępne mu

tradycje, decydując, które z nich zasługują na jego poparcie. Krytyka

musi dotyczyć także obozu naturalnych sojuszników. Synder ma przecież rację, wskazując na polską wieś jako na bardzo zasadniczy konserwatywny problem. Można zaryzykować twierdzenie, że słuchacze Radia Maryja pod pewnymi względami także są takim problemem. Z jednej strony polski konserwatysta powinien dążyć do - tego, co bez wątpienia jest ostoją konserwatywnych wartości i przekonań, z drugiej strony nie może bronić tego, co w nim samym wzbudza niepokój, a nierzadko i niechęć. Zadaniem konserwatysty powinno być więc wypracowanie alternatywnych wzorców myślenia politycznego, które byłyby atrakcyjne także dla owych „nietwarzowych” sojuszników. W szczególnym stopniu dotyczy to centralnego obecnie w Polsce problemu modernizacji.

Jak już zostało powiedziane, konserwatysta nie powinien być przeciwnikiem modernizacji (pod groźbą natychmiastowej bądź odsuniętej w czasie najwyżej o kilka lat marginalizacji), do niego należy jednak nadanie jej takiego sensu, by nie była ona pojmowana jako prosta techniczna operacja, której dobroczynny efekt zależy jedynie od czynników ekonomicznych, przestrzegania rynkowych i demokratycznych reguł gry i menedżerskiej sprawności rządzących. Ralf Dahrendorf nazwał demokrację i wolny rynek chłodnymi projektami, które nie zapewniają obywatelom „dachu nad głową” i poczucia wspólnoty. Problem ten, choć uniwersalny, w Polsce wydaje się szczególnie poważny. O ile bowiem kraje zachodnie wprowadzały owe „chłodne projekty” stopniowo, wbudowując je w tradycyjną strukturę społeczną i instytucjonalną, o tyle w Polsce mamy do czynienia z gwałtowną i właściwie bezrefleksyjnie entuzjastyczną ich instalacją. Nie zamierzam wdawać się w tym miejscu w dyskusję na temat tak zwanej cudzożywności liberalizmu, który zdaniem niektórych krytyków nie generuje własnych wartości, opierając się jedynie na tym, co powstało poza nim – faktem jest jednak, że liberalna

modernizacja dokonuje się w Polsce w sytuacji, gdy owo „poza nim” jest bardzo osłabione, gdy cynizm wypiera ze sfery politycznej jakąkolwiek etyczną odpowiedzialność.

Snyder wprowadza rozróżnienie na konserwatyzm polityczny, i kulturowy. Pozwala mu to osłabić nieco kontrowersyjność zasadniczej tezy o niemożliwości konserwatyzmu we współczesnej Polsce. Okazuje się bowiem, że nierealny jest konserwatyzm jedynie w polityce, pozostaje natomiast możliwość konserwatywnej krytyki kultury. Niewątpliwie podstawowe zadania konserwatystów w Polsce – o ile nie chcą oni do końca swych dni zajmować się wyłącznie udowadnianiem, że jednak istnieją – kierują ich w stronę metapolityki i sfery kultury. Czy jednak da się utrzymać tak ostre rozróżnienie? Czy konserwatyzm pozbawiony woli działania na scenie publicznej i realnej możliwości kształtowania politycznej rzeczywistości przez nieustanną konfrontację z prawdziwymi problemami nie stanie się jedynie intelektualną igraszką? Czy nie poświęci się rozważaniu problemów pozornych, takich jak słusznie wykpiwane przez Syndera tropienie w Polsce postmodernizmu czy rozdzieranie szat nad *affirmative action* w Stanach Zjednoczonych?

Duch republikański potrzebny od zaraz

Snyder opisuje przemianę w sposobie postrzegania Ameryki w Polsce – dawny raj na ziemi i ucieleśnienie ideału wolności przemienił się w piekło, w którym hordy barbarzyńców dokonują planowej destrukcji cywilizacji i kultury. Rzeczywiście, rozczarowana miłość do wyidealizowanej Ameryki przekształciła się u wielu Polaków w zaślepioną nienawiść. Snyder ma oczywiście rację wskazując, jak wiele

szkody przynosi ignorowanie odrębności kontekstu kulturowego i koncentrowanie się na cudzych, a nie na własnych problemach. Mimo wszystko jednak wydaje się, że nie byłoby źle, gdyby Ameryka pozostała dla nas symbolem udanego eksperymentu republikańskiego.

*Amerykański projekt
republikański nie był
zwrócony przeciw zastanej
rzeczywistości, nie chciał
zniszczyć kształtującego się i
utrwalającego przez
dziesięciolecia purytańskiego
etosu życia i pracy*

Wysiłek podjęty
przez Ojców
Założycieli zasługuje
na najwyższe
pochwały – potrafili
oni ufundować nową
wspólnotę
polityczną, nadać jej
konstytucję, która z
czasem stała się
podstawowym
źródłem

amerykańskiej tożsamości. Najbardziej zaś zdumiewające było to, jak wiele udało im się zachować, choć przecież tak ogromnie wiele zmienili. Amerykański projekt republikański nie był zwrócony przeciw zastanej rzeczywistości, nie chciał zniszczyć kształtującego się i utrwalającego przez dziesięciolecia purytańskiego etosu życia i pracy ani też przeniesionego z Anglii systemu prawa zwyczajowego. Potwierdził zmianę polityczną, która się dokonała, łącząc ją z dziedzictwem kolonialnej Ameryki. Ojcowie Założyciele potrafili też narzucić własną interpretację nowej rzeczywistości – taką funkcję spełniły wszak *The Federalist Papers*, opisujące, a jednocześnie przecież ustanawiające nowy porządek polityczny.

Jak Timothy Snyder z pewnością wie, i w Stanach Zjednoczonych negowano możliwość istnienia konserwatyzmu. Szczególnie gorący spór rozgorzał w latach sześćdziesiątych, kiedy to dowodzono, że o żadnym konserwatyzmie amerykańskim nie może być mowy, skoro cały amerykański projekt był przykładem stricte liberalnego konstruktywizmu. Czy jednak rzeczywiście prawda jest aż tak prosta? Nikt nie zaprzecza, że twórcy amerykańskiego systemu politycznego zaciągnęli wielki dług u Locke'a, Monteskiusza i Hume'a. Ale tylko ślepiec mógłby nie zauważyć, że dług został zaciągnięty także u Ojców Pielgrzymów (struktura umowy zawartej na statku „Mayflower” w zdumiewająco wielkim stopniu przypomina strukturę amerykańskiej Konstytucji) i że nic tradycji wcale nie została zerwana. John Adams (nota bene gorliwy uczeń Burke'a), Alexander Hamilton i James Madison budowali coś nowego, ale inaczej niż francuscy rewolucjoniści, czynili to na fundamentach dawnej, kolonialnej Ameryki.

Zapewne nigdy nie rozstrzygniemy tego, czy rację mają ci, którzy widzą w Konstytucji amerykańskiej wcielenie ideałów oświecenia, czy też ci, którzy nazywają ją najbardziej konserwatywnym dokumentem w historii, nie ulega jednak wątpliwości, że takich właśnie republikanów (konserwatystów!) bardzo dziś w Polsce potrzeba.

Tomasz Merta

Książka Tomasza Merty *Nieodzowność konserwatyzmu* dostępna jest w księgarni Teologii Politycznej

Tekst ten jest polemiką z artykułem Timothy Sydera *Czy w Polsce są konserwatyści?* – oba ukazały się w „Res Publice Nowej” nr 11 z 1997 r.



Sfinansowano przez Narodowy Instytut
Wolności - Centrum Rozwoju
Społeczeństwa Obywatelskiego
ze środków Programu Rozwoju
Organizacji Obywatelskich
na lata 2018 – 2030



Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego.

Dofinansowano
ze środków Ministra
Kultury i Dziedzictwa
Narodowego